

31.10.2019

WIADOMOŚCI - KURIER LUBELSKI

Gabriela Bogaczyk

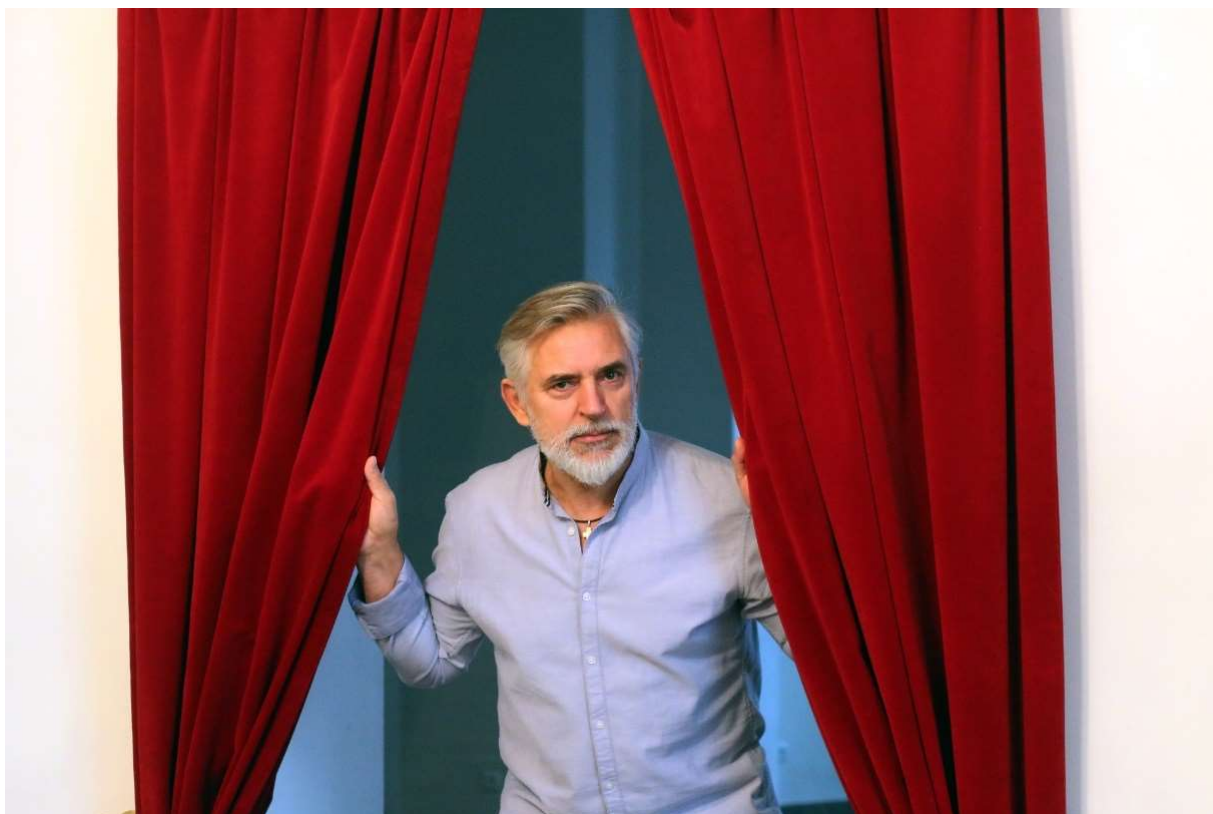


## Jakbym otarł się ramieniem o samego Boga

**Jak może wyglądać świat po tamtej stronie? Pytamy o to Artura Kocięckiego, aktora Teatru im. J. Osterwy, który po wypadku samochodowym zapadł w śpiączkę na 30 dni.**

**Pierwsza myśl po wybudzeniu ze śpiączki?**

Słyszając słowa lekarzy „proszę się obudzić” pomyślałem, że ktoś mnie tu wrabia i oszukuje. Sądziłem, że jest to jakiś podstęp, bo byłem pewien, że jest dokładnie odwrotnie. Głowę sobie dawałem uciąć, że tamto życie było bardziej realne niż to, do którego się wybudzałem. Moja śpiączka polegała na tym, że funkcjonowałem jakby w rzeczywistości. Słowo „jakby” jest tu kluczowe, ponieważ dla mnie była to rzeczywistość, a wybudzanie powrotem do snu.



## Jakie to było życie?

Dla obserwujących pozostawałem nieruchomym przedmiotem, bez świadomości. A tak przecież nie było. Żyłem intensywniej, bardziej realnie niż w tzw. rzeczywistości. Stąd pewnie to przekonanie o innych światach i wymiarze. Na przykład Carlos Santana grał mi pięknie na gitarze. Jednocześnie towarzyszyło mi cały czas poczucie walki z jakąś niedomogą, która była potwornie uciążliwa. To był momentami tak niezmożony ból, który mnie ograniczał w oddechu i powodował duszenie. Kiedy było już krytycznie, to pamiętam, że się zrywałem do okna, próbowałem wybić szybę, aby wpuścić powietrze. Tę czynność powtarzałem nieskończenie wiele razy. Walczyłem, żeby nie umrzeć z braku oddechu. Podobnie tysiące razy powtarzał mi się inny obraz: gdzieś na końcu świata, w jakimś lesie przejeżdżał powolutku pociąg bez ludzi z otwartymi wagonami. Miałem wtedy przekonanie, że jak nie wejdę na stopień tego pociągu, to już na zawsze tam zostanę. Za każdym razem, mimo jakiegoś okrutnego bólu, wchodziłem na stopień.

## **Znajdował się pan ciągle na jakiejś granicy?**

Zawsze było to swego rodzaju balansowanie na cienkiej linii. Doświadczałem makabrycznych wizji, choćby z cyrkiem straceńców, gdzie wykonywano skoki na trampolinie - trapezie nad oceanem. Jak komuś się nie udawało, to człowiek spadał na ostrze, które go przepoławiało, a rekiny już tylko czekały, żeby go dojeść. Codziennie ktoś odchodził, bo nie udawało się dobrze skoczyć na tej trampolinie. To tak jak w kolejce do śmierci - nie wiadomo, kiedy nas spotka. Z drugiej strony obiecywano, że czeka na mnie cudowne i lepsze życie. To było jakby mamienie mnie spokojem i sielanką. Momentami odczuwałem tę błogość i to światło, które przytula. To było wtedy, gdy znajdowałem się „na ostrzu noża”, gdy zaczynałem się poddawać i rezygnować z chęci walki. Miałem wybór, bo mogłem zostać po tamtej stronie - uspokoiony, szczęśliwy, uwolniony od bólu. Ale instynkt podpowiadał mi, że muszę walczyć z przeciwnościami. Działalem na przekór, pod prąd.

## **To niepokojące wizje. Gdzie jest to słynne światełko w tunelu?**

Sądzę, że światełko jest przereklamowane. Bo każdy posiada swoje. Inaczej to widzi. Można założyć, że mój stan był nieokreślony, niewspółbrzmiący z możliwością werbalnego przekazu, był tak jak i ja zawieszony gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią. Zastygałem jak jogin dwa metry pod ziemią. Bez oddechu. Z niewielką nadzieją na ocalenie ostatniego pęcherzyka powietrza.

## **Opowiedzmy o dniu, w którym doszło do wypadku.**

Dzień jak każdy. Minęło już siedemnaście lat. Wracałem z dziećmi znad morza. Lipiec, noc, okolice Gończyc na trasie Warszawa-Lublin. Tam znajdują się takie dwa wzniesienia. I nagle oślepiające światło w oczy...

Policjant, który odwiedził mnie w szpitalu, wyjaśnił, że gdy byłem w dolinie drogi, nagle zza wierzchołka wyskoczył inny pojazd, który zjechał na przeciwny pas i wbił się w nasz samochód. Sprawca zginął na miejscu. Dalej tłumaczył, że odbiłem maksymalnie w prawo, niemalże do rowu i machinalnie zatrzymałem się w miejscu (prawdopodobnie ten manewr intuicyjny pozwolił nam przeżyć). Trafiony jak pociskiem wybiłem się saltem w powietrze. Zakleszczony. Rozbity. Trzeba było wycinać dach.

Nigdy nie domagałem się, by dowiedzieć się szczegółów.

Podobno zaraz po wypadku, leżąc, pytałem tylko o dzieci, które jechały ze mną z tyłu w fotelikach. Przeżyły bez utraty przytomności. Ich głosy słyszałem, nawet będąc w tamtym życiu, i tym mocniejszy miałem powód, by wstać. Dziś są dorosłymi, wspaniałymi ludźmi. Jestem z nich bardzo dumny. Mateusz jest aktorem, po łódzkiej Filmówce, a Kamil antropologiem kultury, filologiem języka polskiego po UJ.

„Przebudzenia” dedykowałem właśnie moim Synkom - Dobrym Duszkom.

### **Na jakim etapie życia był pan wtedy, przed wypadkiem?**

To był dosyć trudny czas dla mojej rodziny. W karierze też nie najciekawszy. Ale to dobrze, bo odczuwam dzisiaj to moje niesatysfakcjonujące życie jako szansę na zrewidowanie tego poglądu. Mogło być ono potrzebne, żebym zrozumiał, że nigdy nie jest tak, aby było całkiem źle. To jakby Ktoś dał mi wówczas lekcję w postaci „kroplówki”, zastopował w galopie. Powiedział: „ty sobie popatrz z boku, co tu się dzieje i co by się mogło z tobą naprawdę stać...”

### **Jak wyglądał czas zaraz po wybudzeniu?**

To był trudny moment. Stan mój nie zachęcał do spaceru. Był unieruchomieniem. Paralizem. Pomogły doświadczenia sportowe, medytacja. Po wyjściu ze szpitala późną jesienią pojechałem nad morze. Oparłem się o kurtynę wiatru i inhalowałem płuca. Wiedziałem, jeśli się utrzymam, zwyciężę. Jeśli nie, niech to wszystko szlag trafi...

Wchodziłem do zimnej wody. Oswajałem z bólem. Natura stała się moją siłą. Ona wywiodła od zwątpienia. Udowadniała to na każdym kroku, kiedy starałem się spojrzeć w sztormową falę i płynąć. Te wyzwania w moim przypadku wydają się nieracjonalne ze względu na duże ryzyko, ale ja musiałem spojrzeć śmierci w oczy, żeby właśnie wrócić do normalności. To taki paradoks, lecz jestem teraz bardziej świadomy i otwarty na życie. Najlepszym bowiem lekarzem jest człowiek sam dla siebie. Zawierzyłem autorskim metodom rehabilitacji. Budowałem dla siebie program odnowy: Płynąłem całe jeziora, biegałem po górach, gdy nadeszła burza. W Nazare w Portugalii wszedłem w wzburzony, lodowaty ocean, który „wessał mnie w siebie i zmielił”. Wpadłem w rynną wirów. Znalazłem się w pułapce. Płynąłem kraulem, nie oglądając się na nic, aż padłem bez sił. Jednak dotknąłem lądu. Wyszedłem. W Fatimie tego samego

dnia odmówiłem dziękczynną modlitwę. Ktoś zawsze był przy mnie, chociaż byłem sam...

### *Artur Kocięcki*

*Aktor Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie, od 28 lat. W 2002 roku w wyniku wypadku samochodowego zapadł w śpiączkę. Wybudził się po 30 dniach. Swoimi przeżyciami dzieli się z czytelnikami swojej poezji. Wydał trzy książki: „Przytul mnie zmierzchu”, „Przebudzenia”, „Krótki traktat o nieumieraniu”. Przygotowuje kolejny tom wierszy i prozy „Nic powiedzieć”. Można go zobaczyć m.in. w spektaklach: „Kram z piosenkami. Obrazki śpiewające”, „Pinokio”, „Mistrz i Małgorzata”, „Pan Tadeusz”. Monodram w wersji radiowej „O powrocie stamtąd” na podstawie książki „Przebudzenia” znalazł się w finale „Dwóch Teatrów 9 Edycji” w Sopocie oraz Prix Europa w Berlinie. W Cannes w filmie Damiana Bieńka „Lament VIII” zagrał Jana Kochanowskiego. Film otrzymał Złotego Delfina w kategorii: „Styl życia, Sztuka, Muzyka i Kultura”, a także w filmie „Jan Kochanowski – Treny” z dwoma nagrodami: Za wartości patriotyczne w 100-lecie odzyskania Niepodległości oraz najlepszy dokument w kategorii: „Kultura i Sztuka” na Międzynarodowym Festiwalu FilmAT Festival w Warszawie.*

### **Zastanawiał się pan, dlaczego tego wszystkiego doświadczył?**

Jestem pewny, że dzieje się to według Czyjegoś planu. Wspominam, jak będąc w moim śnieniu, leciałem w otchłań, bez czucia, pozbawiony rąk i nóg. Wtedy Ktoś mnie pochwycił, jakbym otarł się ramieniem o samego Boga. Jest to ta niewytłumaczalna siła, która prowadzi. Bóg. Mówienie o tym wydaje się potrzebne, ze względu na charakter tajemnicy owianej wokół śpiączki. Szczególnie teraz w wigilię Święta Zmarłych, żeby podkreślić znaczenie życia. Stałem, by o tym opowiadać i wszystkim cierpiącym i wątpiącym nieść - przykładem ocalałego - wieść o tym, że śmierć nie istnieje. Mam wrażenie, że Bóg dał mi tę szansę, by mówić o tym głośno i hołdować wszystkim tym, którzy odeszli i nie ulegli, wszystkim tym, którzy zostali i nie odeszli... Jak w dedykacji „Przytul mnie zmierzchu”, pierwszej napisanej książce kilka miesięcy po moim się podniesieniu.

## **Boi się pan śmierci?**

Ja już swoją przeżyłem. Teraz każdy dzień jest moim najszczęśliwszym, jakby ostatnim. Tak traktuję swoje życie, by nie odkładać nic na potem. Nie wartościować niczego. Po prostu być.

## **Jak będzie wyglądać ten inny świat, życie po śmierci?**

Tam może być wszystko, czego się nie spodziewamy.

## **I co dalej?**

„...Dalej trzeba iść, choć w koło ranią, choć zewsząd patrzą oczy i jęzory chwalą się, że nie kłamią, choć zwierciadeł odbicia drwią z takiej postury. To nic, że nie chciałem uwierzyć zaplątany w chmury. Dalej idę tam, gdzie nie wie jak dolecieć wiatr, gdzie nie ma nic i nadziei brak. Nieskończony jak Syn Zmartwychwstały, unieść dać się tym wrażeniom i płynąć wciąż płynąć, choć rozbitym o skały. Poczuć, że żyję, choć zginę bez chwały. Wszystko zgaśnie, ucichnie, wszystko wiatr rozsiewa, nikt już nie zapyta, jak się dzisiaj miewam...” [fragment wiersza „Przytul mnie zmierzchu”, z tomu pod tym samym tytułem].

Dalej wschodzi słońce, które budzi do życia.